

PIERWSZY ETAP BIEGU

Na pustyni jest się trochę samotnym.
Równie samotnym jest się wśród ludzi.

Antoine de Saint-Exupery

Nareszcie ruszamy. Nasz konwój przejeżdża przez małe miejscowości. Ludzie, domy wyglądają, jakby świat o nich zapomniał. W rzeczywistości może oni zapomnieli o świecie... Nie wiem, ale widocznie ten układ im odpowiada. Jest tu brudno. Po drogach chodzą osły obciążone przewieszonymi przez grzbiet torbami, wypełnionymi wszystkim, co tylko można sprzedać turystom. Obok nich stoją ubogo wyglądający Marokańczycy w typowych dla tego zakątka strojach – długich sukniach, jakby koszulach nocnych uszytych z prześcieradeł. Na głowie obowiązkowo ochrona przed słońcem: czapka, kaptur lub chusta. Każdy z nich opiera się o inny kawałek murku, domu lub czegoś, co stoi w cieniu i daje choć trochę chłodu. Jedziemy dalej, wzrok mój przykuwają budynki. Są stare. Ich prostokątny kształt podkreśla prostotę krajobrazu. Przypominają ociosane

kamienie z otworami – to okna pozbawione szyb. Przykrywająca domy farba, łuszczy się od słońca. Nikt nie myśli, by to naprawić, odnowić. Tak się stało, więc tak już zostanie. Tu ludzie mają inny system wartości, inne problemy. Kilka kroków dalej stoi sprzedawca, który swoje stoisko zbudował z tego, co akurat znalazł pod ręką. Tak to przynajmniej wygląda. Obok niego zajmuje miejsce kolejny kupiec i następny, i jeszcze jeden, i tak dalej. Minitarg różnaitości – jedni handlują owocami leżącymi w starych skrzyniach, inni układają ubrania na stołach, które sprawiają wrażenie, jakby miały się za chwilę rozlecieć – jeszcze inni rozkładają swój towar po prostu na ziemi. Większość z nich oferuje to, co jest wyrobem ich własnych rąk. Bardzo często są to wiklinowe kosze, plecione dywaniki, chusty, długie bele kolorowego materiału albo wyroby gliniane.

W końcu przerwa. Karawana zatrzymuje się.

– Nareszcie. Umieram z głodu, poza tym muszę iść pod drzewko – mówię do Marka.

– Poczekaj, też pójdę. Nie wiadomo, kiedy znów będzie przystanek.

Nie tylko my wybieramy się pod nieistniejące drzewko. Potem z ulgą wracamy do autobusu.

– Teraz czas na przekąskę. Tam stoją lunch boksy.

Częstujemy się. Wybieramy najwygodniejsze kamienie, koniecznie w cieniu, siadamy wygodnie i jemy. Przerwa nie trwa jednak zbyt długo. Z niedojedzonymi kanapkami wsiadamy do autokarów i ruszamy dalej.

Nagle zatrzymujemy się, to burza piaskowa, która pojawiła się nie wiadomo skąd, ogranicza widoczność, konwój nie może dalej jechać. Zafascynowani, oglądamy, znane dotychczas tylko z filmów i literatury, groźne zjawisko, ale ten zapierający dech w piersiach

spektakl trwa tylko chwilę. Ruszamy. Po jakimś czasie wszystko się powtarza. W końcu zatrzymujemy się ostatecznie.

– Andrzej, to chyba nie jest miejsce docelowe?

– Nie jest. Czytałem, że ostatnie trzy kilometry drogi do bazy nie nadaje się dla takich olbrzymich autokarów. Nie wiem tylko, jak dostaniemy się na miejsce?

– A ja już wiem! – wykrzykuje Marek – Ale jazda! Będzie co opowiadać po powrocie.

Moim oczom ukazuje się obraz jak z filmu – na zawodników czekają wielkie, wojskowe samochody ciężarowe. Wszyscy wrzucają swoje bagaże na paki, siadamy i jedziemy.

– A to dopiero początek przygody – zwracam się znacząco do mojego towarzysza.

– Fakt. Ciekawe jak będzie wyglądać nasz biwak.

– Ty, patrz, chyba jesteście na miejscu.

– No, masz rację. Widzę tam jakieś namioty – Marek rozgląda się wokół.

Widok wprawia mnie w stan osłupienia. Wszystko zostało starannie rozplanowane. Z jednej strony znajduje się miejsce dla zawodników – pole stu dwudziestu czarnych, berberyjskich namiotów ustawionych w trzy pierścienie tworzące sekcje. O ile dobrze pamiętam, nasz ma numer 20, będziemy go dzielić z Łotyszami, Ukraińcami i Rosjanami.

– Namiot to może jednak za dużo powiedziane – stwierdzam po namyśle, rozglądając się na wszystkie strony.

Widzę grube, czarne płachty podparte solidnymi kijami, ponaciągane i powiązane sznurami po to, by stworzyć jak najwięcej przestrzeni w środku. Wewnątrz na ziemi leżą czerwone dywany z czarnymi zygzakami, na których będziemy spać. „Maroko w czystej

postaci” – myślę. Niedaleko mieści się biały namiot – to chyba połowy szpital. Obok niego punkt pierwszej pomocy i jakaś budka, prawdopodobnie z zapasem wody. Między nimi znajduje się jeszcze się jeszcze jeden mały namiot. Domyślam się, że to tu, po przebytych etapach, będziemy mogli mailowo nawiązać kontakt z rodzinami. Po drugiej stronie, trochę na uboczu, ustawione zostały, solidniejsze niż nasze, namioty organizatorów i obsługi. Jest ich kilkadziesiąt. Nic dziwnego, bo zarząd wyścigu składa się z ponad 110 ludzi, wliczając w to kierownictwo, komendanta, kontrolerów, osób mierzących czasy i tworzących rankingi. Do tego dochodzi 450 osób nadzoru technicznego i logistycznego oraz pielęgniarzy. Wyczytałem, że wstęp do tej części obozu jest zakazany. Grozi nałożeniem kary pieniężnej bądź dyskwalifikacją.

No dobrze, to skoro już tak wyliczam, to dodam, że imprezie towarzyszy 100 pojazdów, 2 helikoptery, 1 samolot Cessna i... 4 wielbłądy. Bieg aktywnie wspierają też... marokańskie królewskie siły wojskowe: 21 ciężarówek i 40 ludzi nadzorujących logistykę.

Zespół medyczny liczy 50 osób pod kierownictwem doktora Federica Compagnon. Opiekują się biegaczami zarówno od strony fizycznej, jak i psychicznej. Ciekawostka, która robi wrażenie – w ubiegłym roku podczas 27. edycji Maratonu zużyto: 5 km plastrów, 2700 okładów, 125 litrów płynów dezynfekujących, 230 litrów kroplówek, 15000 kompresów i 2800 par rękawiczek chirurgicznych.

Jest prawie dziewiętnasta. Dochodzimy do naszej „sypialni”, witamy się ze współlokatorami i zajmujemy miejsca. Następnie wspólnie jemy kolację. Na nic innego nie mamy już sił. Wszyscy marzą o odpoczynku, dlatego, jak jedna drużyna, kładziemy się niemal równocześnie. Jeszcze przez chwilę obozowisko oświetlają małe

latarenki. Wygląda to bardzo romantycznie. Kamili by się pewnie podobało. Choć jestem zmęczony, nie mogę zasnąć. W głębokiej ciszy słyszę oddechy moich towarzyszy. Wiatr hula po namiocie, który nie ma ani ścianki tylnej, ani frontowej, jest otwarty na przestrzał, dlatego podmuchy doskwierają. Robi się bardzo zimno, jedynie osiem stopni na plusie. Zaciągam śpiwór po sam nos. Panuje prawie absolutna ciemność. Konstrukcja berberyjskiego namiotu, wykonanego z czarnej, grubej wełny, umożliwi obserwacje nieba w pozycji leżącej. A jest na co popatrzeć – głęboki granat, w zasadzie czerni, przepięknie rozświetlony milionem gwiazd. Nie ma na nim żadnej małej chmurki, która mogłaby choć jedną zasłonić. „Mój Kwiatusek byłby zachwycony tym widokiem” – myślę. „Julcia chciałaby go namalować, a Mikołaj pewnie nawet nie zwróciłby uwagi” – śmieję się w duchu, uświadamiając sobie, że już za nimi tęsknię.

Rankiem budzi mnie słońce. Jest sobota. Widzę, że Marek już nie śpi.

– Cześć, jak minęła pierwsza noc? – pytam.

– Bolesnie – śmieje się.

– Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem. Położyłem się z głową pełną wrażeń. Nie zdążyłem pomyśleć o tym wszystkim, co się wczoraj wydarzyło i już chrapałem.

– Mnie też od razu zmorzyło. Gdyby nie te kamienie pod plecami byłoby idealnie.

– I ten chłód... – dodaję.

– No cóż, nie ma co narzekać, tylko trzeba coś zjeść. Dziś jeszcze luzik, ale jutro Sahara pokaże nam swoje mniej przyjazne oblicze – śmieje się Marek.

– Dokładnie! Chodź, burczy mi w brzuchu!

Po śniadaniu ostatecznie pakujemy plecaki. Należy to zrobić rozważnie, zabrać wszystko, ale uważać, by nie przeciążyć bagażu. Nasz grzbiet, brzuch i barki będą nam za to wdzięczne... Następnie zdajemy nasze cywilne ubrania. Dociera do mnie, że to się dzieje naprawdę. Jestem tu i za chwilę oddam do depozytu wszystkie moje rzeczy. Zostanie mi tylko to, w czym pobiegnę i wszystko, co jest potrzebne, by przeżyć na pustyni. Staram się szybko planować, obliczyć, co jeszcze mogę pozostawić, by ulżyć sobie w biegu. W ostatniej chwili decyduję, że oddam też karimatę. Nie jest mi niezbędna do spania, podejrzewam, że zmęczenie uśpi mnie bez względu na warunki, a to zawsze kilkanaście dekagramów mniej na plecach. Ustawieni w kolejności numerycznej, oczekujemy na kontrolę medyczną. Chwila zdenerwowania. Wiem, że jeśli o czymś zapomniałem, zostanę ukarany. Kara może być finansowa lub czasowa, w najgorszym przypadku grozi mi dyskwalifikacja, żadnej bym nie chciał. Każdy z nas ma aktualne wyniki badania EKG, wykonanego nie później niż trzydzieści dni temu, i zaświadczenie od lekarza o stanie zdrowia. Całe szczęście, wszystko jest OK. Prawie natychmiast kierują nas na kontrolę techniczną, która sprawdza, czy zabraliśmy sprzęt obowiązkowy: kompas, lusterko, gwizdek, scyzoryk oraz pompkę do usuwania jadu. Kontrolują też, czy mamy odpowiednią ilość żywności, taką jak określał regulamin. Minimum 12 tysięcy kalorii na cały wyścig. Na koniec otrzymujemy numery startowe, na moim widnieje liczba 278, dopuszczenie do udziału w Maratonie i pozostałe obowiązkowe wyposażenie, które zapewnia organizator. Są to środki dezynfekujące, flakonik z tabletkami soli i flara sygnalizacyjna. Słowem: wszystko, co może uratować życie.

Dzień minął szybko. Jest już wieczór. Nawet nie wiem, kiedy uciekły te wszystkie godziny stracone podczas obowiązkowych

kontroli. Teraz mamy chwilkę, by pospacerować wokół obozu. Cały teren jest usiany mniejszymi lub większymi kamieniami. W głębi duszy modłę się, by tylko tu, w tej okolicy, tak prezentowało się podłoże.

– Mam nadzieję, że tylko tutaj jest tyle kamieni – mówię do Marka.

– Ja również, po tym ciężko się chodzi, a co dopiero biega – wzdycha.

Nie wiedzieliśmy wówczas, że, niestety, Sahara jest tyleż piaszczysta co kamienista i nieraz będziemy mieli okazję pomyśleć, jak bardzo się teraz mylimy... W promieniu stu metrów od obozu stoją miejscowi ludzie – Berberowie. Wyraźnie ich stąd widzę. Oferują przedmioty własnej produkcji – niezidentyfikowaną metaloplastykę i witraże. W sprzedaży mają też kamienie. Jakby było ich tu mało... Czy cały ten kraj pełen jest takich paradoksów? Spoglądam na zegarek. Zaraz odbędzie się ostatnie przed startem spotkanie z organizatorami. Ruszamy z Markiem, by o czasie dotrzeć na miejsce.

Zostajemy oficjalnie powitani, potem omówienie biegu i przedstawienie ubiegłorocznych zwycięzców. Na koniec pamiątkowa fotografia. Wszyscy uczestnicy maratonu ustawiają się w kształt liczby 28, by fotograf z helikoptera mógł wykonać nam zdjęcie. Jeszcze tylko kolacja – ostatnia podana przez organizatorów.

Po posiłku idziemy z Markiem do namiotu. Chociaż osobiście nie znamy się długo, dokładnie trzy dni, czuję się z nim jak z bratem. Nie mam oporów, by rozmawiać o wszystkim, czy po prostu mówić o dręczących mnie obawach. Leżymy już na naszych miejscach.

– Co za szalony dzień. Miałem zapytać cię wcześniej, ale nie było okazji. Jak twoja żona zareagowała na wiadomość, że chcesz

startować w Maratonie na Saharze? Ciekawi mnie, bo wiesz, co mówią o tym biegu... – Marek przygląda mi się spod oka.

– Wiem i niestety moja połowica też dotarła do tych informacji. Naczytała się, że ludzie tu padają jak muchy, zdarza się, że wyczerpanie skutkuje śmiercią i takie tam. Musiałem długo tłumaczyć, że są to rozdmuchane przez media plotki, trochę wyolbrzymiane, by przyciągnąć widzów.

– Skądś to znam. Oczywiście zdarzają się takie przypadki, ale wtedy ,gdy startuje ktoś kompletnie nieprzygotowany. Nie to co my.

– No cóż – wzdycham – nie było łatwo. Kamila zawsze mnie wspierała, ale tym razem sprzeciwiała się, protestowała, zwyczajnie się martwiła. Wiedziała, że nie bez przyczyny Maraton Piasków zyskał przydomek „morderczy”. A przygotowania wymagały ode mnie wielkiego zaangażowania. Sam wiesz, jak jest. Na Kamilę spadła większość obowiązków: opieka nad Mikołajem, dom, praca i wreszcie ja... Wiem, ile ją to kosztowało... – uśmiecham się. – Były ciche dni, przez trzy miesiące przed każdym treningiem wyrzuty, pretensje... Wreszcie pogodziła się z tym, że mnie nie przekona, nie odwiedzie od postanowienia i wszystko wróciło do normy. Ponownie mogłem liczyć na pomocne ramię mojej żony, a jej troska i wsparcie dają mi solidnego, energetyzującego kopa. To tyle, a jak u ciebie?

– Och, mnie żona zna z tej szalonej strony. Wie, że do życia potrzebna mi jest adrenalina. Powiedziałem jej o starcie miesiąc przed wyjazdem. Szczerze mówiąc, sama się zorientowała. W lutym pojechaliśmy na ferie. Powiedziałem jej, że nie będę jeździł na nartach, bo nie chcę się nabawić kontuzji. Ona już wtedy wiedziała, że coś kombinuję. A ja po prostu nie chciałem mówić jej o Maratonie zbyt wcześnie. Po co miałyby się martwić przez kolejne miesiące?

– Heh, słowem, nieprzewidywalny z ciebie typ! Ja spisałem testament przed wyjazdem. Nie chciałbyś wtedy widzieć miny Kamili. Czasami pytałem, czy zastanowiła się, w jaki sposób odbierze moje zwłoki, gdyby coś mi się stało – śmieję się. – Żebyś wiedział, jak się wtedy na mnie wściekała! Mówiłem jej, że w sumie to żaden kłopot, odbierze mnie w drewnianej jesionce na hali przylotów Cargo Okęcie... a ubezpieczenie pokrywa ewentualny transport sztwywniaka.

– Uuuu, chyba cię nie przebiję! – Marek parska śmiechem. – Chociaż, może kiedyś... Chcę w przyszłości zabrać tu syna. Ma dziesięć lat, więc przede mną jeszcze sześć, żeby przekonać do tego żonę. I to dopiero będzie jazda!

– Oj, nie mają z nami łatwego życia te kobiety, ale chyba za to też nas kochają?

– Pewnie.

– No, chyba pora spać, jutro lekko nie będzie – Marek układa się wygodnie w śpiworze.

– Racja. Musimy zebrać siły. Śpij dobrze!

– Dobrej nocy – odpowiada Marek.

Rankiem, około godziny piątej budzą nas pierwsi zawodnicy szykujący sobie śniadanie. Od dzisiaj posiłki przygotowujemy sami. W Polsce zrobiłem zapasy na cały tydzień. Wybrałem, podobnie jak inni uczestnicy, to, co waży najmniej, a przy tym jest bardzo kaloryczne. Mam nadzieję, że wybór okaże się dobry. Moje i Marka śniadanie wygląda tak samo – kaszka mleczna, dokładnie taka, jaką podaje się dzieciom, wzbogacona suszonymi owocami i orzechami, które uzupełniają naszą pustynną dietę w niezbędne witaminy i mikroelementy. Po śniadaniu mamy jeszcze godzinę na ostatnie przygotowania. Zaczynam się denerwować. Marek chyba też.

– Ciekawe, co nas tam czeka – próbuję „zagadać” myślenie.
– Cały czas zastanawiam się, czy dość dobrze jestem przygotowany – odpowiada całkiem poważnie mój towarzysz. – Czy mi się uda?

– Jeśli się odpowiednio przygotowywałeś, to dlaczego ma ci się nie udać? Kto ma dobiec, jeśli nie my... – kończę, dodając otuchy także sobie, bo wątpliwości mimowolnie narastają.

– Masz rację. Pokonamy teren, pokonamy pogodę, rywali i własne słabości. Damy radę! – twarz Marka rozjaśniała.

Jego słowa przywracają mi wiarę. Ostatni raz sprawdzam plecak. Ma dwie komory z przodu i z tyłu. Razem z wodą waży 12 kilogramów, trzy mniej niż wynosi dopuszczalna waga podana w regulaminie. Jeszcze tylko na głowę czapka z daszkiem i kołnierzem zakrywającym kark, duża warstwa kremu z filtrem na twarz i odsłonięte fragmenty rąk i nóg. Jestem gotowy.

– Już czas...

– Już czas... Powodzenia, przyjacielu!

– Wzajemnie. Jestem pewien, że wieczorem spotkamy się w namiocie.

Z tymi słowami opuszczamy namiot.



Jest godzina 7:45, 7 kwietnia 2013 roku. Stoimy na linii startu. Ostatni zawodnicy przechodzą odprawę. Ponieważ król Maroka jest dość mocno zaangażowany w Maraton, towarzyszy nam mnóstwo gapiów i reporterów, a poza tym miliony ludzi przed telewizorami, to impreza medialna. Zaraz się zacznie. Zostało już tylko 45 minut na ostatnie rady organizatora, pożegnanie z uczestnikami

i... modlitwę. Zerkam na plan trasy, który otrzymaliśmy wcześniej. Są na nim zaznaczone charakterystyczne punkty drogi po to, abyśmy się nie zgubili. Moje skronie zaczynają pulsować, serce walić, w głowie kotłują się myśli jak fale na wzburzonym morzu. Ostatni raz rzucam okiem na wszystko, co mnie otacza: zawodników, transparenty, fotografów i tę nieprzeniknioną dal pustyni czekającą na śmiałków, którzy w swej ambicji dobrowolnie oddają się uściskowi jej ramion. Startujemy!



Zaczynam pierwszy etap Maratonu Piasków. Czeka mnie 38 kilometrów rozpoznawczego biegu. Myślę tylko o tym, że muszę poznać teren, warunki, muszę sprawdzić, co mnie będzie bolało, jak upał wpłynie na mój organizm i, przede wszystkim, jak zniósę to psychicznie. Na razie jestem dobrej myśli. Zaczynam powoli, spokojnie. To pierwszy kilometr z prawie dwustu trzydziestu całego Maratonu. Nie chcę za dziesięć minut zemdleć. O dziwo, biegnie się dobrze. Miła niespodzianka. Jeszcze przez chwilę wszyscy jesteśmy razem. Krok w krok z rywalami. Potem jednak niektórzy oddalają się, dodają gazu, by jak najszybciej przerwać „wstęgę na mecie”, inni zostają z tyłu pogrążeni w zadumie, skupieniu, lub po prostu oszołomieni imponującymi widokami. Panuje powszechne przekonanie, że zawodnikami w tej dyscyplinie sportu są tylko zawodowcy i championi, jednak obok mnie startują też amatorzy, piechurzy lub po prostu biegacze z zamiłowania, parkowi joggingowcy. Wszystkich mogę nazwać śmiałkami. Co nimi kieruje? Chcą sprawdzić, ile wytrzyma ich organizm albo są na tyle odważni, że decydują się spełnić swoje marzenie o przygodzie

życia, do której w opowieściach bądź myślach będą wracać w spokojnych latach starości.



Nadal biegnę lekko i ostrożnie. Mijam delikatne wzniesienie, które nie sprawia mi żadnej trudności. Biegnę dalej i przekraczam górę zwaną Mech Irdane Jabel. Teraz muszę skrócić w lewo i kierować się na południowy wschód. Tam czeka na mnie skalista przełęcz. Nie jest jednak zbyt kłopotliwa. Zostało mi jeszcze jakieś osiem kilometrów do pierwszego punktu kontrolnego. Mój pierwszy cel. Szybszym marszem kieruję się na piaszczysty odcinek, a później na południe, gdzie znajduje się skupisko drzew palmowych. Wysokie, strzeliste rośliny z rozłożystymi pióropuszcami. Nie przyglądam się im długo. Nie mam na to czasu. Mijam je i pokonuję małe podejście pod górkę. Ze wzniesienia wchodzę na coś, co wyglądem przypomina betonową kładkę. Pode mną prawdopodobnie kiedyś płynęła rzeka, dziś nie ma jednak śladu po tej błękitnej wstędze. Znowu biegnę na południe. Zaczyna się teren skalisty. Idę wyschniętym korytem rzeki Rehirs Oued. Są tu małe szczeliny, jednak radzę sobie z nimi. Wreszcie wkraczam na małe pole wydymowe, skąd widzę punkt kontrolny. Wyczekiwana chwila. Wysuwam ze specjalnego bloczka przypiętego do plecaka plastikową kartę, którą będę musiał podbić na miejscu. Ostatni łyk wody z butelki. Robię miejsce na nową, którą otrzymam na kolejnych dwanaście kilometrów. Jestem na miejscu. Biorę wodę i w pośpiechu mieszam ją z płynem izotonicznym, który uzupełni utracone z potem mikroelementy i witaminy. Wyciągam baton energetyczny. Nie mam na niego ochoty, jednak wiem, że jeśli chcę mieć siły, muszę go zjeść. Biorę

pierwszy kęs, niemal rośnie mi w ustach. Nie jestem głodny. Szybko odkręcam butelkę z wodą i zapijam go, żeby natychmiast znalazł się w żołądku. Jeszcze tylko tabletki z solą. Ile ich wezmę zależy od czasu, w jakim będę pokonywał kolejny odcinek biegu. Wysiłek do pięciu godzin to trzy tabletki do każdej butelki wody, powyżej pięciu godzin – pięć tabletek. One są niezbędne. Uzupełniają utracone w trakcie wysiłku sole mineralne i podtrzymują proces absorpcji wody w organizmie. Bez tych tabletek ukończenie biegu byłoby niemożliwe. Ostatni łyk... Jest dobrze. Ruszam dalej.

Trasa nadal mi się podoba. Minałem już kilka podejść na wydmy, ale nie jest najgorzej. Żadnych wielkich skał czy bardzo stromych podejść. Kieruję się teraz na południowy zachód. Po lewej stronie widzę szczyt jakiejś góry. Szybkim marszem pokonuję drogę wzdłuż piaskowego kopca i ostów. Biegnę już ponad dwie godziny, zastanawiam się, gdzie jest Marek, myślę o nim. Ponownie sięgam po woreczek z solą. Czuję, że tabletki są mi teraz potrzebne.

– Nie, nie! Tylko nie to! Nie ma ich! – krzyczę, jakby to miało mi pomóc w ich odnalezieniu. Nerwowo przeszukuję każdy zakamarek plecaka, może w pośpiechu schowałem je w innym miejscu. W końcu do mnie dociera, że zgubiłem cały zapas. Nie domknąłem przedniej komory i podczas biegu musiały wypaść. Moje ciało paraliżuje strach. A jeśli organizatorzy mnie zdyskwalifikują...? Tabletki są obowiązkowym elementem wyposażenia, który decyduje o naszym życiu. Muszę wziąć się w garść. Jakoś sobie poradzę. „Tylko spokojnie, będzie dobrze, Andrzej”, powtarzam w myślach, by wbić sobie tę frazę do głowy i nie panikować.

Przechodzę krokiem marszowym wzdłuż skupionych skał i dalej przez dolinę od strony południowej. Droga jest pagórkowata. Przebiegłem już jakieś pięć kilometrów od punktu kontrolnego.

Nagle przecieram oczy ze zdumienia, Pan Bóg jednak nade mną czuwa! Na drodze leży woreczek z tabletkami soli. Inny uczestnik zgubił go na trasie, pewnie w ten sam sposób co ja. Teraz wpadł w moje ręce! Potraktuję całe to zajście jako dobry omen. Uradowany, nie dowierzając swojemu szczęściu, idę ścieżką, aż osiągam szczyt kolejnego wzniesienia. Teraz czeka mnie piaskowe zejście od strony południowej. Powoli przypominam sobie o stopach. Zaczynają boleć. Wiem, że nie mogę się na tym koncentrować, bo cierpienie będzie narastało. Próbuję odgonić myśli, które krążą wokół otartych palców. Muszę się na czymś skupić, na jakimś wspomnieniu, na czymś, o czym dawno nie myślałem. To przyniesie ukojenie, nie pozwoli powracać do upiornego bólu. Kto mógłby mi pomóc... już wiem... wiem! Ona zawsze mnie mobilizowała. Goniła do nauki, do pracy, do obowiązków, trzymała w ryzach, bym skończył szkołę i zawsze we mnie wierzyła... Mama! To jej dedykuję pierwszy etap maratonu. Z nią, z jej imieniem na ustach dobiegnę dzisiaj do mety. Dam radę!



Tak, moja mama nie miała lekkiego życia. Na 42 metrach kwadratowych w Stalowej Woli wychowywała czwórkę dzieci: trzech synów i córkę, którą urodziła tuż po śmierci taty. Owdowiała w wieku trzydziestu siedmiu lat. Ja miałem wtedy sześć. Niewiele pamiętam z tego okresu. Mama nigdy nie ułożyła sobie ponownie życia z innym mężczyzną, pracowała w służbie zdrowia, była pielęgniarką. Całkowicie poświęciła się nam. Chciała zapewnić swoim dzieciom jako taką egzystencję. To był jej główny cel, po to istniała. Żyliśmy ubogo, ale godnie. Pamiętam „paczki z zakładu pracy”.

Otrzymaliśmy czekoladę i jedną pomarańczę. Dzisiaj ktoś powie może: śmiechu warte, ale kiedyś to było coś... Powiew luksusu, dobrobytu, marzenia... Często korzystaliśmy z darów kościelnych i pomocy socjalnej, choć żyło nam się dobrze. Mnie szczególnie. Zawsze byłem jej ulubieńcem, najmłodszy spośród braci. Paradoksalnie, pod względem nauki na ich tle nie byłem wybitny. Pamiętam, gdy mama dostała od kogoś takie dwa fajne długopisy z różnokolorowymi wkładami. W tamtych czasach był to naprawdę niesamowity rarytas i każdemu z nas świeciły się do nich oczy. Ogłosiła więc konkurs – długopisy dostaną ci, którzy będą mieć najlepsze świadectwa. Nawet nie miałem co startować, do końca roku zostało niewiele czasu, a moi bracia byli zawsze prymusami. Na koniec roku szkolnego mama poprosiła nas o świadectwa. W otoczeniu ich cenzurek z czerwonymi paskami moja prezentowała się mizernie. Bez nadziei pokazałem swoje oceny i, o dziwo, dostałem długopis. Dlaczego? Robert, najstarszy z nas, był zawsze poszkodowany, to on uczył się najlepiej, ale po śmierci taty przejął niejako jego obowiązki. Szybko musiał dorosnąć i poświęcać się dla młodszego rodzeństwa. Z perspektywy czasu widzę, że to nie było sprawiedliwe. W brutalny sposób stracił dzieciństwo.



Mama zawsze we mnie wierzyła, chociaż nigdy nie pochwałała mojej sportowej pasji. Powtarzała, że mam się uczyć, bo w życiu sport mi się do niczego nie przyda. Ja byłem jednak innego zdania. Dziś nie utrzymuję się bezpośrednio ze sportu, ale dzięki niemu, temu, co mi dał za młodu, jak mnie rozwinął, ukształtował mój charakter, jestem tu, gdzie jestem i robię to, co robię. Nawet

gdy grałem w kosza jako zawodnik pierwszoligowego klubu, mama nie przychodziła na moje mecze. Nie mam żalu. Wiem, że była zmęczona. Czwórka dzieci, ciężka praca, a i tak ledwo wiązała koniec z końcem. Niemniej pamiętam dziwną sytuację. Graliśmy mecz. Były to półfinały mistrzostw Polski, które rozgrywane były w Stalowej Woli. Świetnie mi szło. Trafiałem kosz za koszem. Pewny siebie odbierałem napastnikom piłki. Nagle mój wzrok zahaczył o trybuny. Zamurowało mnie. Na krzeselku siedziała mama! Oszołomiony, straciłem piłkę. Do końca meczu popełniałem błędy i nie zdobyłem żadnego punktu. Strasznie mnie jej wizyta zdekoncentrowała i zdenewrowała. Nigdy więcej nie zajrzała na trybuny. Śmieszna sytuacja.

Zamyślenie przerywa widok kolejnego punktu kontrolnego. Znajduje się on na końcu wydm Aitoulhetan Erg. Pokonuję pole wydmowe i nareszcie dobiegam, łapię wodę, podbijam kartę i ruszam dalej. Wszystko staram się zrobić w jak najszybszym tempie. Nawet ta mała przerwa nie robi mi dobrze. Plecy bołą niesamowicie. Dopóki biegłem, nie czułem, że plecak tańczy po całym ciele. Był źle dociągnięty. Dobrałem go do swojej postury w Polsce. Kilkukrotnie przymierzałem, miał wszystkie atesty, nie spodziewałem się, że to on wymierzy mi pierwszy tak bolesny cios. Dobrze, że dzisiejszy bieg jest krótki. Muszę myśleć o drodze. Teren jest piaskowy, gdzieś tam pojawiają się niewielkie wzgórza, którymi przechodzę dalej. Kieruję się na południowy wschód. Jestem mniej więcej na 24 kilometry, ból staje się coraz trudniejszy do wytrzymania. Unoszę plecak na rękach, przez chwilę czuję ulgę, jednak szybko zaczynają mi drgać barki, palący ból mięśni jest nie do zniesienia. Znowu muszę zająć myśli. Przecież nie mogę skupiać się i wyobrażać sobie tylko, jak wyglądają moje plecy. Szukam w głowie miłych wspomnień.



Pamiętam wakacje. Z perspektywy minionych lat wiem, że to był wspaniały czas. Każdego lata wyglądały tak samo. Z ostatnim dzwonkiem w szkole wyjeżdżaliśmy z braćmi do babci i ciotki na wieś. Tam moja rodzina zajmowała się przede wszystkim uprawą pola. To na wsi nauczyłem się, jak ciężko człowiek może pracować za kilka ziemniaków. Zdobyłem wiedzę teoretyczną – poznałem wszystkie rodzaje ziaren oraz produkcję chleba od samego początku, to znaczy, od zerwania pszenicy. Pamiętam, jak się buntowałem, zły wykrzykiwałem, że koledzy nie muszą pracować przy żniwach i przede wszystkim nie muszą wstawać nim kogut zapieje. Teraz wiem, że te wakacje pomogły mi w życiu. Przygotowały do pracy, nauczyły, że nie można się lenić, że człowiek tylko siłą własnych rąk bądź potęgą swej wiedzy może zapracować na jedzenie, wygody, bo nikt mu w życiu nic za darmo nie da. W czasie wakacji bywały też momenty cudowne. Uwielbiałem, gdy przychodziła nasza kolej na wypasanie krów. Przez całą wieś pędziliśmy je na pastwisko. W każdym domostwie było od jednej do czterech krów, w sumie pilnowaliśmy ponad dwustu zwierząt. W międzyczasie mogliśmy do wieczora palić ognisko i zająć się pieczonymi ziemniakami. Nic już mi tak nigdy nie smakowało, jak te kartofle prosto z ognia, pieczone w popiele ze spalonych, wyschniętych krowich placków... to właśnie jest sekretny składnik najlepszego opału...

Na chwilę udało mi się odciągnąć umysł od bólu i opału. Auto-refleksja pomaga.

– Co mnie tu przywiodło? – pytam sam siebie.

– Chyba mój ośli charakter, jak sobie coś postanowię, to nie ma mocnych – odpowiadam sobie.

Myślę, że tego niestrudzonego dążenia do celu nauczył mnie sport, a dokładniej koszykówka. Gra w klubie sekcji koszykówki w Stalowej Woli miała ogromne znaczenie w moim życiu. Odkąd skończyłem dziewięć lat, koszykówka stała się całym moim światem. Po kolei przechodziłem przez wszystkie stopnie, począwszy od młodzika, poprzez juniora, aż do gracza prawie zawodowego. Prawie, bo nigdy, jak zawodowiec, nie otrzymywałem wynagrodzenia za treningi i mecze. Drużynę tworzyło piętnastu chłopaków. Widywaliśmy się na treningach niemal codziennie przez dziesięć kolejnych lat. Człowiek uczył się wtedy obowiązkowości. Musiał każdego dnia wyjść i poprawiać swoje wyniki, wypełniać braki, podkreślać umiejętności techniczne i motoryczne, słowem, doskonalić siebie. Zawsze konkurowaliśmy z kolegami o skład. Każdy z nas chciał grać. Była to jednak rywalizacja partnerska, przyjacielska. Nieprzerwanie podnosiliśmy sobie nawzajem poprzeczki – jak któryś z nas dostał się do pierwszej dwunastki, to w kolejnym meczu chciał grać w pierwszej piątce. Kiedy analizuję to z perspektywy czasu, widzę, że w naturalny sposób wykształciły się wówczas we mnie pewne pozytywne cechy charakteru: zdrowa rywalizacja, stawianie sobie celów, ambicje i głód sukcesu. Sport i treningi w klubie naprawdę ukształtowały mój charakter i była to chyba najlepsza rzecz, która mogła mi się wtedy trafić.

Poza samą grą i rozwojem fizycznych umiejętności sport dawał mi także możliwość poznawania różnych zakątków Polski. Mama nie była w stanie wysłać nas na wycieczki, a klub finansował obozy kondycyjne poza Stalową Wolą. Wyjeżdżaliśmy też na turnieje. Mogłem wtedy zwiedzać i poznawać życie poza domem.

Po dziesięciu latach zespół został rozwiązany, a mnie i mojemu koledze, Kamykowi, zaproponowano zawodowstwo, tzn. przejście do pierwszoligowej drużyny seniorów Stali Stalowa Wola. Pozostałym pięknie podziękowano. Pamiętam, że przeżyłem wtedy traumę. Oto, po tylu latach codziennego widywania się, spotkania i przyjaźni, musieliśmy się rozstać. Wiedziałem, że będzie mi ich brakowało. Przeszliśmy do pierwszego zespołu. To miała być nasza szansa. Niestety, jeszcze się uczyliśmy, zatem nie mogliśmy, jak pozostali zawodnicy, trenować dwa razy dziennie, przez co raczej grzaliśmy ławki. Starsi gracze, którzy otrzymywali wynagrodzenia, podpuszczali nas, mówiąc:

– Po co się męczycie, skoro i tak nikt wam nie płaci?

Kiedy w Stalowej Woli powstał klub trzecioligowy, w którym zaproponowano mi angaż, bez zastanowienia się przeniosłem. Wolałem grać, niż nadal siedzieć i jedynie kibicować. To były czasy... Wracam jednak do rzeczywistości...

Przemierzam piaskowe koryto rzeki na przemian z kamienistą doliną. Po lewej stronie widzę mały domek. Pokusa jest wielka. Miło byłoby zatrzymać się, poprosić o szklankę wody i rozsiąść się wygodnie, by nogi nabrały nowych sił. Biegnę jednak dalej. Po prawej widzę górę, podążam kamienistą niziną. Idę na południe, aż do szczytu małego piaskowego przejścia w Amessoui Jebel. Przecieram oczy z nadzieją, że temperatura wynosząca 35 stopni i bieg w pełnym słońcu nie wywołują u mnie żadnych halucynacji. Zgadza się, od linii mety dzieli mnie kilkanaście metrów! Oczami wyobraźni widzę mamę, która stoi z transparentem, skandując moje imię. Do uszu dobiega radosny okrzyk: „Jędrus!” . Lubię to. Tak mnie nazywała, ale gdy była zdenerwowana, wołała „Suchy”

(to z powodu mojej niskiej wagi i dużego wzrostu). Wytrzymałem. W bólu dobiegam do końca. Przekraczam linię mety, szepcząc:

– To dla ciebie, mamo.

Mój czas to 4 godziny 51 minut. Bez chwili odpoczynku idę po należne mi trzy butelki wody. Ten limit obowiązuje do końca dnia. Niemal pełnę do namiotu, okazuje się, że jestem pierwszy. Nie ma tu nikogo, ani Marka, ani dwóch Łotyszy, ani Rosjan. Jestem szczęśliwy, zadowolony i dumny z siebie, że wygrałem, zwycięsko wyszedłem z wewnątrznamiotowej „bitwy”. Odpoczywam. Leżę na dywanie, spięte ciało próbuje się rozluźnić, mięśnie jeszcze drgają. Czuję, że nogi są ciężkie, obolałe od ran. Teraz jednak jest mi tak dobrze. Nie chcę, nie potrafię się podnieść. Delektuję się tą wspaniałą chwilą... cudownie. Jestem szczęśliwy, że ukończyłem pierwszy etap. Na moment z błogostanu wyrывa mnie głos kogoś z obsługi medycznej:

– *Are you OK? Everything is OK?*

Medycy, nie tylko na trasie, ale też na mecie, ciągle sprawdzają stan naszego zdrowia, samopoczucie. Natychmiast kiwam głową na znak, że wszystko jest w porządku. Chcę odpocząć, pomyśleć. Moje obawy związane z reakcją organizmu okazały się dalekie od rzeczywistości, w sumie nieźle mi poszło. Kocham to uczucie zmęczenia i świadomości, że zrobiłem to, zrobiłem!

Po odpoczynku robię oględziny własnych stóp. Nie prezentują się najgorzej. Małe bąble na palcach i lekkie otarcia na pięcie. Jestem pewien, że sam sobie z nimi poradzę. Z punktu pierwszej pomocy pobieram skalpel, środek dezynfekujący i sztywny plaster specjalnie przygotowany dla biegaczy po to, by na kolejnym etapie trasy nie rolował się i nie pogłębiał uczucia dyskomfortu. Po dwóch

godzinach przybiega Marek. Widzę, że jest z siebie zadowolony. Znam ten wyraz twarzy.

– Jestem – mówi wykończony, ale radosny.

– Ja już dochodzę do siebie. Nogi są twarde jak kamień, ale i tak nie spodziewałem się, że organizm tak dobrze zareaguje.

– No... daliśmy radę. Jak trasa? Podobała ci się?

– Nie było źle. Sądziłem, że będzie gorzej. A ty jak...?

– Spanikowałem trochę, kiedy zobaczyłem, że kogoś zabierają. Podobno zawodnik jadł baton energetyzujący i go zemdleło, zaczął wymiotować, a organizm w tym upale niemal od razu się odwodnił. Zabrali go na kroplówkę – opowiada Marek, zdejmując buty.

– Oj, też omal tak nie skończyłem. Tragedia, jedzenie grzęzło mi w gardle, na szczęście woda pomogła. Jakby tego było mało, miałem problemy z plecakiem, „chodził” po mnie, był w ogóle niestabilny, przez co niepotrzebnie napinałem mięśnie, teraz są twarde i obolałe – odwracam się i dumnie prezentuję barki, jak żołnierz rany po wygranej wojnie.

– Nie wygląda to ciekawie. Jutro powinno być lepiej. Kładź się, rozmasuj ci te plery, bo nie wyjdiesz z namiotu.

– Dzięki, niczego więcej mi nie potrzeba!

W końcu mięśnie puściły, rozluźniły się i poczułem, że jest mi o niebo lepiej. Boję się, że jutro będę miał problem z założeniem plecaka, ale ogólnie jestem dobrej myśli. Wychodzimy przed nasze obozowisko. Prawie wszyscy uczestnicy dobiegli. Kierujemy się do punktu, gdzie możemy napisać parę słów do rodziny. Jest mniej więcej po piętnastej. Słońce pali niemiłosiernie. Pięć osób przed nami. Rozmawiamy z postawnym Francuzem, gdy przerywa nam niespodziewany wypadek. Stojący obok nas Szwajcar traci nagle przytomność i pada na ziemię jak długi. Natychmiast zjawiają się

służby medyczne, lekarze. Od razu prowadzą niemogącego ustać na własnych nogach człowieka do stanowiska pierwszej pomocy. Tam podłączają mu kroplówkę. Przez głowę przebiega mi myśl: „To mógł być każdy z nas, to mogłem być ja”. Jestem zdenerwowany, lecz wiem, że nie mogę o tym dłużej myśleć. Nie mam na to czasu. Przyszła moja kolej na napisanie maila – całe 1000 znaków. To najprostszy sposób kontaktowania się z domem. Używanie komórek na terenie obozu i podczas biegu jest zabronione. Organizatorzy podjęli taką decyzję, bo zdarzało się w poprzednich latach, że gadający przez telefon zawodnicy przeszkadzali innym, tym, którzy chcieli się skupić jedynie na maratonie, odciąg od zewnętrznego świata. Owszem, można korzystać z komórek, ale trzeba wyjść daleko poza obóz. Nikomu się nie chce, więc wszyscy, którym jednak kontakt z tymi „po drugiej stronie” jest potrzebny, karnie ustawiają się w kolejce do internetowych terminali.

Jest już ciemno. Wokół każdego namiotu toczy się życie. Wszędzie palą się ogniska. Ludzie ogrzewają się przy nich, bo temperatura gwałtownie spada, gotują wodę na posiłek lub po prostu w ten sposób oświetlają swoje najbliższe otoczenie. Zjadamy kolację, a potem rozmawiamy o trasie. Zbliżyła się dwudziesta pierwsza. Obóz już śpi. Wracamy do namiotu i układamy jak najwygodniej.

– Wiesz – mówię wpatrzony w nocne niebo – strasznie fajne miałem pożegnanie z ludźmi w robocie, wcale się tego nie spodziewałem. Usłyszałem wiele ciepłych słów, wszyscy życzyli mi powodzenia, chociaż niektórzy zakładali, że dobiegnę do mety pierwszego etapu i wrócę do domu. Udało się, dobiegłem, ale nie wracam – śmieję się.

– I słusznie! Nie po tośmy tu przyjechali, żeby zaraz wracać. A tak w ogóle, to czym się zajmujesz? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Jestem dyrektorem generalnym w firmie farmaceutycznej, chociaż studiowałem na poznańskim AWF-ie.

– Ja studiowałem filozofię, a jestem managerem.

– Widzisz, nie tylko pasja nas łączy.

– Dokładnie. Wydaje mi się, że zarówno na Saharę, jak i na wysokie stołki zaprowadziły nas te same cechy charakteru. Obaj wiemy, że nie ma celu, którego nie można osiągnąć i że człowiek sam pracuje na swój sukces.

– Wyjąłeś mi to z ust! Granice, które człowiek musi pokonać, są tak naprawdę w nim, w jego umyśle. Mówi się: „Drużyna przegrywa mecz w szatni”. Tak samo jest w życiu, jak masz złe nastawienie, to się nie uda, trzeba wierzyć, że podołasz. Nikt tego nie zrobi za ciebie – kończę, ziewając jak mops.

– Zawsze sobie powtarzałem: Marek, zrobisz to, uda ci się. Nie inaczej było dzisiaj na starcie, chociaż zwątpienie na chwilę mnie dopadło.

– Chyba każdego. Ja też wpadłem w panikę, musiałem sobie zdrowo tłumaczyć, że wszystko gra... Słuchaj, już późno, chodźmy spać, bo jutro pobudka jak zwykle o piątej.

– OK. Ja już prawie usypiam. Spokojnej nocy.

– Do jutra!

Lekko unosząc przymrużone powieki, przez chwilę obserwuję patrol dbający o nasze nocne bezpieczeństwo. A potem, spokojny, zasypiam.